

Chińskie więzienia nie mają ścian – 9

25 lipca 2009

Umówiliśmy się z „resztą”, czyli Irlandczykami, Audrey i jej mężem pod portretem Mao. Spóźniali się, a my prawie już oślepliśmy od reflektorów, wycelowanych w bramę i uśmiechniętego, w 70% nieomylnego, wodza. Było to dziwne spotkanie, bo przecież kilka dni wcześniej zdążyliśmy się już tak na amen pożegnać, a tu trzeba się było znowu witać i znowu żegnać. To było ponad moje siły.

– Nie jedźcie do Badaling – powiedziała Jo na powitanie. Oboje z Alem właśnie wrócili z Wielkiego Muru. – Pojechaliśmy z tą wycieczką, zabrali nas do jakichś fabryk pamiątek, co zabrało wieki, a na samym murze byliśmy za krótko. Tych fabryk w ogóle nie było w programie wycieczki!

Al zachichotał po swoim.

– Jo nie chciała iść do tej fabryki i powiedziała, iż zaczeka w autobusie. Wiesz, co powiedziała przewodniczka? Objechała ją, że nie współpracuje! Zgniły zachodni indywidualizm...

Postanowiliśmy nie poznawać turystyki o cechach chińskich – choć Al uznawał ją za rzecz przeżabawną – i pojechaliśmy autobusem do Jinshan ling, omijając zatłoczone Badaling szerokim łukiem.

Nie pożałowałyśmy. Kolejka linowa zabrała nas na wzniesienie, z którego wiodła ścieżka na mur. Hilda szła, dostojnie się rozglądając, ale Marie i ja nie mogłyśmy wytrzymać i rzuciłyśmy się biegiem pod górę, wrzeszcząc z radości na widok poszarpanego wieżami strażniczymi horyzontu.

– Jakie my mamy szczęście, że tu jesteśmy! – przypomniała mi po raz kolejny Marie. – Czy kiedykolwiek pomyślałaś, że

kiedykolwiek się tu znajdziesz?

Mur ciągnął się wzdłuż zielonych szczytów jak grzebień na grzbiecie smoka, czasem wyraźny, czasem cienki jak nitka. Wdrapałyśmy się po stromych schodach i już na nim byłyśmy. Po obu stronach góry, ciągnące się w nieskończoność.

Mur, który miałyśmy przed sobą, niczym nie przypominał wypielegnowanego, równego muru w Badaling, ale nie był też zupełną ruiną.

Chociaż najstarsza część muru liczy 2000 lat, to budowli tej nikt nie nazywał wielką przed wybudowaniem najnowszego odcinka za dynastii Ming. Początkowo składał się on z niepołączonych ze sobą murów, zbudowanych niezależnie w różnych częściach północnych Chin przez władców pomniejszych państw, którzy chcieli zapewnić sobie święty spokój od najazdów nomadów z obecnej Mongolii i Mandżurii, a także, by zaznaczyć swoje granice.

Najstarszy odcinek zbudowano najprawdopodobniej w roku 688 p.n.e. (dynastia Qin), po nim w I w. p.n.e. powstał mur dynastii Han, kolejny odcinek zbudowano w latach 1138-1198 (okres Pięciu Dynastii i Dziesięciu Królestw), a najnowszy fragment powstał w latach 1368 -1620. Mur, nawet odcinek biegnący przez Pustynię Gobi, budowano z lokalnie dostępnych materiałów, jako składnika zaprawy używając czasem kleiku ryżowego. Z muru, zbudowanego z ubitej ziemi, wzmocnionej trzcina, na terenach pustynnych niewiele dzisiaj zostało. Nikt też specjalnie nie przejmuje się jego konserwacją. Turystyka jest chyba jedynym, co może uratować zachodnie części budowli przed rozebraniem przez lokalną ludność.

Mur zbudowany przez budowniczych Ming jest znacznie masywniejszy i wyższy niż starsze odcinki muru. Po każdym murze można się wspiąć i przejść na drugą stronę, ale przetransportowanie koni, bez których wojownikowi trudno się było wtedy obejść, było właściwie niewykonalne. Także powrót z

łupami byłby bardzo utrudniony. Skuteczność muru była jednak zależna od sytuacji politycznej zanim -Mandżurowie zdołali się przedostać przez mur dzięki chińskiemu generałowi. Po podbiciu Chin przez Mandżurów, mur stał się w zasadzie bezużyteczny, gdyż następująca po Ming dynastia Qing, składała się z Mandżurów, przeciwko którym miał być ochroną.

Krąży wiele legend na temat tego, że ciała robotników, którzy stracili życie przy budowie muru, zostały wykorzystane jako materiał budowlany. Jest to mało prawdopodobne, gdyż ciała – jako dosyć plastyczny materiał – mogłyby osłabić konstrukcję. Robotników chowano nieopodal muru – lecz nie w jego wnętrzu. Inny mit mówi, że Wielki Mur jest jedyną budowlą, którą gołym okiem można zobaczyć z Księżyca. Winnym powstania tego mitu jest Richard Halliburton i jego wydana w 1938 roku książka *Second Book of Marvels*. Trudno powiedzieć, na czym autor oparł to stwierdzenie, bo w tym czasie o lotach w Kosmos można było sobie zaledwie pomarzyć. Z obserwacji licznych astronautów wynika, że Wielki Mur ze stosunkowo niewielkiej odległości 160 km wcale się tak nie rzuca w oczy i trzeba dokładnie wiedzieć, gdzie go szukać, by dostrzec cienką nitkę w kolorze niemal identycznym, co otoczenie.

Wystartowałam do przodu, od razu gubiąc Hildę i Marie na następne cztery godziny marszu. Mur zaskoczył mnie ilością schodów. Z jakiegoś powodu wydawało mi się, że iść po murze to iść wygodnie równym chodnikiem, podczas gdy dziesięć kilometrów, jakie miałam przed sobą, składało się głównie ze wspinaczki i schodzenia po stromych stopniach. Parłam do przodu, częściowo gnana adrenaliną, częściowo dlatego, iż włączyłam „bieg piąty, tatrzański”, a za mną szła – podbiegając – biednie ubrana Chinka. Najwyraźniej chciała za mną nadążyć.

– Gdzie idziesz? – zapytałam. Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko.

– Hello! Tam-Mongolia... – powiedziała po angielsku, wyciągając

rękę na północ. – Do następnego miasteczka jest 38 wież. Skąd jesteś? Lubisz Chiny? – wyrecytowała bezbłędnie.

Przeczuwałam, iż nie potrafi mówić po angielsku i że za chwilę kupię coś, co zupełnie nie jest mi potrzebne. Zadałam jej pytanie, którego nie zrozumiała i dziewczyna przystanęła na chwilę, zastanawiając się, co robić dalej. Sięgnęła do torebki.

– Nie chcę niczego kupować. Buyao – powiedziałam wyraźnie i pognałam dalej.

Dziewczyna wycofała rękę i dała sobie spokój. Gdy doszłam do pierwszej wieży, zobaczyłam innych handlarzy, odpoczywających na stromych schodkach.

Żołnierze, którzy patrolowali mur zimą, w tej części Chin wyjątkowo mroźną, musieli być nieźle zaprawieni w bojach. Mur nie bez powodu jest dobrym symbolem Chin. Izolacja i złamanie izolacji. To, co miało kiedyś izolować, przyciąga turystów.

Byłam na murze sama. Hilda i Marie szły gdzieś z tyłu, czasem słyszałam piskliwy śmiech Hildy. Daleko przede mną widziałam kolorowe punkciki, przesuwające się powoli wzdłuż muru, ale tutaj byłam tylko ja. Bez zaraźliwego entuzjazmu Marie wiedziałam, że będąc tu po raz pierwszy, najprawdopodobniej jestem tu równocześnie po raz ostatni. Do tej pory myślałam o Wielkim Murze tylko w kategorii czegoś, co jest daleko i czego nigdy nie zobaczę ani nie dotknę. Teraz się po nim wspinałam. Taki obrót sytuacji wywoływał przedziwne uczucie. Delektowałam się nim, bo to było jedno z tych najprzyjemniejszych uczuć.

Autor: Vanda Zakrzewska

Źródło: [„Ulica Wszystkich Świętych” nr 4/2009](#)